ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Derecki

JAK SIĘ KOMU ŚNI?

Wpadła mi podczas wakacji w ręce książka amerykańskiej autorki Helen MacInnes, opasłe „czytadło”, zatytułowane: „While still we live” - „Póki my żyjemy”. Tytuł książki, reklamowanej przez wydawnictwo, jako „A hair-raising tale of intrygue and espionage” („jeżąca włosy na głowie opowieść sensacyjno-szpiegowska”), brzmi dla Polaka dziwnie znajomo. I słusznie. Jest to bowiem rzecz opowiadająca o walce Polaków z niemieckim najeźdźcą na przełomie 1939 i 1940 r., o obronie oblężonej Warszawy, pierwszych aktach hitlerowskiego terroru po zajęciu miasta oraz o początkach ruchu oporu i narodzinach polskiej partyzantki. Książka została wydana po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych w 1944 r., a wznowiono ją w trzydzieści lat później, jako obliczony na masowego czytelnika „pocket”.

W latach wojny musiała być to książka wstrząsająca i wyciskająca łzy z oczu, dzisiaj - szczególnie dla polskiego czytelnika - jest raczej lekturą wzruszającą w swej... naiwności. „While still we live” to opowieść o niezwykłych przeżyciach młodej Angielki Sheili Matthews, która latem 1939 r. przyjeżdża w odwiedziny do ziemiańskiej polskiej rodziny gospodarującej w majątku Korytów koło Łowicza i tutaj zakochuje się w oficerze ułanów, pięknym i odważnym Adamie Wiśniewskim.

Tak oto rozpoczyna się ów wstrząsający melodramat, w którym Scheila najpierw przeżyje grozę oblężenia Warszawy, następnie stanie się agentką polskiego wywiadu kierowanego przez niejakiego Olszaka (starego bojowca PPS i legionistę), przenikając do samego serca warszawskiego gestapo, (w czym pomoże jej właśnie niejaki Hofmeyer, podwójny agent, „wtyczka” brytyjskich Secret Service), a wreszcie weźmie ślub z dowodzącym polskim oddziałem partyzanckim Adamem, w małym wiejskim kościółku, gdzieś w Górach i lasach Świętokrzyskich...

Przygody Sheili Matthews są nieprawdopodobne, ale też Helen MacInnes była zawsze autorką opowieści „niezwykłych”, „nieprawdopodobnych” i „mrożących krew w żyłach”. Ta Angielka, która wraz z mężem - krytykiem literackim i wykładowcą uniwersyteckim Gilbertem Highetem - wyemigrowała w 1937 r. do Stanów Zjednoczonych, zadebiutowała, z wielkim powodzeniem, w 1941 r. sensacyjną powieścią „Above Suspicion” („Ponad

podejrzeniem”). Do jednej z jej najlepszych książek sensacyjno-szpiegowskich należy - powstała w wiele lat po wojnie - „The Salzburg Connection” („Salzburski łącznik”), opowieść o walce różnych wywiadów pragnących zdobyć ważne dokumenty wywiadowcze zatopione pod koniec wojny przez Abwehrę w jednym z górskich jezior Austrii.

Ale wracajmy do „Póki my żyjemy”. Chociaż książka ta - pisana notabene z ogromnym szacunkiem do Polaków, ich bohaterstwa i ich walki o wolność - przypomina chwilami, w sposób niezamierzony przez autorkę, atmosferę słynnego filmu Ernsta Lubitscha „Być albo nie być”. Trzeba przyznać, że Helen MacInnes, piętrząc nieprawdopodobne sytuacje, starała się, na tyle ile tylko mogła, nasycić swą opowieść jak największą ilością „realiów”. Musiała korzystać z licznych przewodników krajoznawczych po Polsce, dokładnie przestudiowała plan Warszawy, miała - jak się wydaje, także polskich „konsultantów”, którzy opowiadali jej o Polsce i jej walce podziemnej, choć może... sami nieraz niezbyt wiele na ten temat wiedzieli. Zaskakujące, że niemała część „Póki my żyjemy”, opisująca życie i działalność partyzantów w Górach Świętokrzyskich na przełomie 1939 i 1940 r., dziwnie przypomina historię oddziału majora Hubala...

Helen MacInnes śniła swą sensacyjną powieść o polskiej walce zbrojnej i o polskim wywiadzie w taki sposób, na jaki ją było stać z odległości kilku tysięcy mil morskich, z innego kraju i z pozycji osoby, która nigdy w Polsce nie była. Gorzej, kiedy w równie nieprawdopodobny sposób przedstawiają pewną fabułę autorzy, którzy od dziesiątków lat tkwią w samym centrum Polskich realiów.

Takie oto, niewesołe wcale refleksje wzbudził we mnie najnowszy film Ewy i Czesława Petelskich, „Kim jest ten człowiek”, nakręcony w oparciu o scenariusz M. M. Gromara, a opowiadający o walce wywiadów - polskiego i hitlerowskiego - w okresie tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej.

Że scenarzysta, niepamiętający zresztą tamtych czasów może stworzyć nawet najbardziej nieprawdopodobny tekst dla potrzeb filmu (opartego podobno na autentycznej historii), to jeszcze rozumiem. Ale że dwoje doświadczonych reżyserów starszego pokolenia - pamiętnych z doskonałej, osadzonej bezbłędnie w bieszczadzkich realiach „Bazy ludzi umarłych”, nakręconej według wspaniałego opowiadania Marka Hłaski - może ów scenariusz, nie najwyższej próby, jeszcze tak „dokończyć” na ekranie, to już mi się w głowie nie mieści. „Kim jest ten człowiek” miał być, zapewne, sensacyjno-szpiegowska „lokomotywą” mającą napędzić publiczność do sal kinowych, a pieniądze do kieszeni Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów oraz PP „Film Polski”. Niestety, sale świecą pustkami.

Sam pomysł na film był bardzo dobry: opowieść o polskim fachowcu od spraw lotnictwa, wmieszanym - wbrew jego woli - w walkę polskiego kontrwywiadu wojskowego z

wywiadem niemieckim, który w dodatku posiada silne, wciąż nierozszyfrowane „wtyczki” w polskich kadrach wywiadowczych. Przechwytywanie, w brawurowo prowadzonych przez polski wywiad „skokach” na niemieckie wagony pocztowe, ważnych dokumentów. Piękna kobieta - „podwójny agent” (Ewa Szykulska, możliwie jak najdokładniej roznegliżowana), towarzysząca głównemu bohaterowi (Henryk Talar) w wyjeździe do pełnego hitlerowskich bojówek chorągwi ze swastyką, antypolskich haseł - Gdańska oraz Sopotu. Atmosfera coraz bardziej narastającej wzajemnej nieufności i podejrzliwości, trup ścielący się gęsto i obficie krwią zbroczony”... Wszystko to byłoby materiałem już - jeśli nie na jakiegoś polskiego „banda”, rodzimego „agenta 007”, to przynajmniej na... „07, zgłoś się”.

Aliści narracja filmu, „Kim jest ten człowiek” wlecze się w sposób nieskończenie nudny. Język filmowy przypomina w niektórych scenach „doświadczenia” kinematografii polskiej sprzed lat czterdziestu. Co zaś najgorsze, chwilami śmiech pusty człowieka ogrania, gdy patrzy na mnożące się na ekranie kolejne „perypetie” bohaterów. Już nie wspomnę, że para wywiadowców wsiada przed dworcem w Gdańsku do taksówki, która lada chwila może się rozlecieć ze starości, że znaki drogowe wydają się być dziwnie dzisiejsze, że Szykulska wręcza Talarowi rewolwer, który ma on ukryć dyskretnie w wewnętrznej kieszeni marynarki, a który - ze względu na swoją wagę i wielkość - powinien natychmiast oberwać mu cały przód ubrania… Tu może nawalił rekwizytor, scenograf, sekretarka planu, bo ja wiem kto. Jednak, kiedy na plaży przed sopockim Grand Hotelem trwa nocna kanonada pomiędzy polskim bohaterem filmu i agentem niemieckiego wywiadu i… nikt tego nie zauważa, nie słyszy, gdy Talar następnie wrzuca zabitego przeciwnika do wody głębokiej po „kolana” i o dwa metry od brzegu, (aby ukryć ciało?), kiedy Szykulska z Talarem, uciekając samochodem (a któż to ich niby ściga?!) pakują się (nie wiadomo po co, bo mogli przeczekać spokojnie na poboczu szosy) w sam środek maszerującego oddziału SA. roztrącając na prawo i lewo SA-mannów, (którzy zamiast zdemolować samochód, a jego pasażerów, co najmniej pobić do utraty przytomności, rozstępują się jak baranki, wymachując, co najwyżej pięściami i tłukąc dłońmi po karoserii), to ja... To ja bardzo przepraszam, ale mogę tylko zapytać: Kim są dzisiaj ci reżyserzy, którzy kiedyś rozpoczęli swoją karierę „Bazą ludzi umarłych”?

Przyznam, że z niekłamaną emocją czekałem na ogłoszenie wyników ostatniego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku. A nuż Petelskim przypadnie jakaś znacząca nagroda? Ale jury przyznało Grand Prix „Kobiecie w kapeluszu” Stanisława Różewicza, Nagrodę Specjalną - „Kobiecie szprowincji” Andrzeja Barańskiego, „Srebrne Lwy” przypadły „Barytonowi” Janusa Zaorskiego i „Jestem przeciw” Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego. Jedną z dwóch nagród za najlepszy debiut filmowy otrzymał Wiesław Saniewski, o którym zapewne jeszcze nieraz usłyszymy - za film „Nadzór”.

Tymczasem Petelksim - jak czytam w jednym z tygodników filmowych - śni się już kolejny film. Ma to być dalsza część „Kim jest ten człowiek”. Jak im się ów film wyśni, zobaczymy z pewnością już w przyszłym roku.

Pierwodruk: „Kamena”, 1985, nr 20, s. 10.